

Agnieszka Wróblewska: Proszę nam opowiedzieć o swoich przeżyciach z czasów II wojny światowej.

Felicja Korbik-Szymanowska: Kiedy wojna wybuchła, nie miałam jeszcze 12 lat. I tak pamiętam, kilka dni przed wojną mój brat został zmobilizowany do wojska. Był po podchorążówce, po maturze. No i potem pamiętam, że pierwszego dnia, 1 września poszłam z koleżanką na dworzec w Kościanie. I tam stał pociąg z wojskiem, a na peronie byli harcerze. Częstoowali ich tam herbatą, kawą czy czymś jeszcze. Ale w tej chwili właśnie się dowiedziałam z opowieści pani Tadeuszkówny, że to ona to wszystko, bo ona właśnie opiekowała się harcerzami, wszystkim i ona też o tym pisze. Mam broszurkę o tym. I teraz przychodzę do domu i mówię do mamy: – *Mama, tam są harcerze. A moja mama płacze. I mówi: – Wiesz co, Niemcy już przekroczyli granicę.* Bo myśmy już mieli radio lampowe. No i rano, jak ja wyszłam na dworzec, to wtedy wiadomości mówili. No i tak to się zaczęło. Policja wzięła nasz wóz z końmi, uciekali. No to myśmy musieli zostać, myśmy nie uciekali nigdzie. Bo to było bez sensu. A oni pojechali. Dwóch braci było na wojnie. Jeden był w czynnej służbie, ten młodszy Czesław, a starszy był zmobilizowany. No i Bolesław jechał z nimi, teraz nie pamiętam już, który policjant z nim jechał. W każdym razie jechali pod Kutno, pod bomby. A myśmy mieli spokój.

Tylko u nas było to wysadzanie mostów. Piękny most na Marcinkowskiego, na którym nieraz przesiadywałam, bo to było blisko. Kawałki tych odpadów, to wszystko nawet na nasze zabudowania spadały. Jaki to musiał być silny wybuch, że takie coś się stało. I wszystkie mosty były potem wysadzone. Nie było dojścia do miasta. Tylko ocalały jedyne mostki na plantach. Drewniane mostki. I na tych mostkach co się działo? To jest wprost nie do wiary. Bo to było z naszej strony jedyne dojście na stronę cukrowni. W cukrowni co się działo? Wszyscy wynosili cukier. Z bekoniarni świnie, nawet przez kanał żywą świnie widziałam przepychali, bo nie było dużo wody, mogła przejść. Monopol rozkradziony. Bo nie było żadnej władzy.

Natomiast u nas na wsi mój tata i mój wuj Olek Franciszek, oni zorganizowali taką straż obywatelską w Kiełczewie, żeby na ten czas, żeby coś tam z opaskami chodzili. Nie pamiętam już, kto. Oni z tym chodzili, już trochę pilnowali w razie czego, jakiegoś porządku.

No i jeszcze było tak, że moja mama mówi: – *Wiesz co, nie mamy cukru w domu.* Bo zwykle cukier był kupowany, jak były buraki odstawiane, no to worek cukru do domu i był ten cukier. Mówi: – *Wiesz co, idź.* Tam u nas pracował w oborze chłopak, 2 lata starszy ode mnie. I mówi: – *Idźcie ze Stasiem, chociaż troszeczkę, niech on pomoże, to troszeczkę niech przyniesie,*

żebyśmy bez tego nie byli. Tak żeśmy poszli do cukrowni przez ten mostek. Mostek się ugiął. Jakby był może inny... ale drewniany, jak dobrze wytrzymał. Jedni w tę stronę, ciasnota. No i z tym Stasiem... Jaki widok zastałam w cukrowni; po cukrze wszyscy deptali, bo to worki spadały z góry w tym magazynie. No i ten chłopak tak może, bo ja wiem, czy 10 kilo, czy coś wziął na plecy i żeśmy ten cukier przynieśli.

No i później było tak, że weszli Niemcy. [00:05:00] 7 września weszli Niemcy. No więc było ogłoszenie w Kiełczewie, że o tej godzinie pojadą przez Kiełczewo i żeby nikogo nie było na ulicy. I myśmy tylko za płotem patrzeli przez szpary, jak oni jechali. Motocyklami jechali i każdy był zwrócony, jeden w tę, drugi z karabinami i tak jechali.

No i teraz tak się zaczęło: oddawać radia, to wszystko, broń, radia. Nasze radio było zgłoszone. Z kuzynką Walcia, Walerią, tą od Olków, żeśmy obwiązały powrozkami to nasze kochane radio, pięciolampowe Philipsa, kupione u Biernackiego na Piłsudskiego i zaniósłszy do Ratusza. Pierwsze drzwi na prawo, jak się wchodziło zaraz. I tam było oddawane. I tam tylko dostałam kartkę, w kratkę, napisane było 13 i to było wszystko.

Tata miał broń, ale tą broń naoliwił i zakopał ją gdzieś w pobliżu kanału, bo mieliśmy dojście do kanału. Tam na polu przy kanale gdzieś zakopał tą broń, ale nikt nie wiedział gdzie. W nocy poszedł i tam zakopał tą broń. No i teraz, no i tak się działo potem.

Jak Niemcy weszli, to mój tata mówił: – *Język wroga trzeba trochę poznać.* Więc byłam w domu tylko ja, brat Bolesław i Tadeusz. Wieczorem siadaliśmy, zeszyty były rozkładane i tata nas uczył gramatyki i wszystkiego. Bardzo, bardzo mi się to przydało, właśnie ta jego nauka. Bo chodziło o stopniowanie, o to wszystko. I teraz, kiedy było pierwsze rozstrzelanie na rynku, tata przyjeżdża z pola, ja wychodzę do taty i mówię: – *Tata, na rynku było rozstrzelanie.* Mój tata nigdy nie klął, bo u nas nie było klątwy w domu, nigdy. Zawsze był spokój, nie było brzydkich słów. A mój tata wtedy: – *No te cholery! To ja ich uczę ich języka, a oni tak.* I skończyły się lekcje. Aha! I wtedy jeszcze, tuż przed wojną wrócił kuzyn Mieczysław Olek ze stażu. Doktor Florkowski też to opisuje, mam gazetę tutaj. I oni się postarają o jakieś radio. Bo oni nie mieli radia. To radio zrobili, przepołowili budę od psa z tyłu to radio było. A pies miał kojec, w kojcu był. I wieczorem chodziliśmy słuchać tego, oczywiście ja też. O bronii wiedziałam, wszystko wiedziałam. Tylko dobrze, że Niemcy o tym nie wiedzieli, bo wiadomo... Zignorowali mnie. Bo gdyby mnie tam wzięli czasem na spytaki, to wiadomo, dziecko by się szybko załamało, prawda? Wszystkie tajemnice, wszystko co było, to wszystko było mi powierzone. Ja już byłam dorosła wtedy.

Przyszedł maj 1940 roku. Mieczysław był aresztowany. Tutaj byłam, a ci profesorowie wszyscy byli tu aresztowani. I on też. Jeszcze poszłam... Tak się złożyło, że policjant go poznał na ulicy, na Placu Wolności. Wiedział, kto to jest i go zabrał do sądu. Potem przyszedł powiedzieć, bo ten był rowerem, rower odprowadził. Myśmy z kuzynką poszły jeszcze go pożegnać do sądu. Tam ich cała kupa była w takim przeciągu, było bardzo dużo tych mężczyzn. Chyba jeszcze żeśmy trochę tego radia słuchali, ale długo nie trwało. To był czerwiec, pod koniec czerwca były sianokosy. Mój tata, dwóch braci: Bolesław, Tadeusz [00:10:00] i jeszcze kuzyn z drugiej strony, Seweryn, pojechali na cały dzień, jak to do siana. A jeszcze gdzieś tam pod Kokorzyn, bo te łąki były daleko tam. Ja poszłam, potrzebowałam taki bon, tak zwany Bezugschein – zezwolenie na ratusz. Bo chciałam sobie kupić sweterek, bo nie miałam sweterka. Już poszłam przed godziną, jeszcze była godzina policyjna o piątej rano. Bez śniadania, bez niczego. No i tam żeśmy przy tym ratuszu. Jak gdzieś samochód któryś, Niemcy jechali od jednej strony, to myśmy uciekali na drugą stronę. Gdyby chcieli, to by i tak nas wzięli. Od szóstej już była normalna godzina. W każdym razie nic nie załatwiłam, bo wiadomo, dzieciak stał, a starsi byli, to ten tego wpuścił, ten tego i ja nic nie załatwiłam. I teraz, dziewiąta godzina się skończyło tam. Idę do domu i po drodze ktoś mi mówi: – *Nie idź do domu. Jak zajdziesz do domu, to się nie wystraszą.* Ale mama jeszcze z domu wyszła i była na polu. Koło kanału, tam za stodołą, tam jeszcze pielęła kukurydzę. No idę jeszcze kawałek dalej, znowu ktoś mówi: – *Nie idź do domu, bo tam jest gestapo.* Więc też tam nie szłam, tylko poszłam naprzeciwno, do Przybylskich. Maksymilian Przybylski to byli dziadkowie Ani Przybylskiej, tej aktorki. Tam poszłam, bo tam mieszkała pani, która u nas też czasem pracowała. I ona mi powiedziała, gdzie mam iść na tą łąkę, gdzie ci nasi byli tam wszyscy, bo ja nie wiedziałam dokładnie... Bo to było parę kilometrów. I z jej córką poszłam tam. Gorączka niesamowita, spragnione żeśmy zaszły na tą łąkę. I mówię: – *Niech tata nie wraca, bo jest gestapo.* Idziemy z powrotem. Niedaleko domu znowu mi ktoś mówi: – *Nie idź do Przybylskich, bo tam już cię gestapo szukało.* Może ktoś mówił, że ja tam byłam. Bo oni byli w tym domu, nikogo nie było. Dlaczego? Bo tamci wyjechali do siana. Ja byłam precz. A mama, jak robiła na tym polu, to sąsiad szedł, jak mówię, po kanale do pracy. Sąsiad szedł do kanału i mówi: – *Pani Mockowa, u was w domu jest gestapo.* Więc mama siedziała w tej kukurydzy i patrzyła, co się robi, co się dzieje. A oni wszędzie wszystko szukali, przewracali, stodoły wszędzie wszystko, rumowisko zrobili w mieszkaniu, wszystko. Czekali, nie ma nikogo. I teraz idziemy, idę z powrotem z tą koleżanką. I tam ktoś mówi: – *Nie idź, bo tam było gestapo.* I weszłam tam do znajomych, do Rolińskich, do gospodarstwa. I mówię, co jak jest. No ukryłam się u nich w stodole. Siedziałam, ale pani Rolińska domyśliła się, że jestem głodna. Przyniosła mi dwie skibki chleba. A ja tam

siedziałam wystraszona, dosyć długo, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie w końcu mówię: – *Niech się robi, co chce, idę do domu.* Wychodzę na ulicę, zrobiłam kilka kroków i tata nadjeżdżał z tej łąki rowerem i mówi: – *Jadę do domu, bo muszę wyjaśnić sprawę, bo ja nie będę się ukrywać całą wojnę.* I tak mi mówi: – *Pamiętaj, choćby ci broń przykładali do piersi, żebyś nic nie mówiła.* To były jego słowa. Bo on wiedział, że ja o wszystkim wiem. I już ruszamy, od razu samochód z gestapowcami jedzie odkryty. W tym samochodzie moja mama, między gestapowcami, chusteczkę przy oczach, płakała. Po tym bruku, po tych kocich łbach. Myśmy krzyczeli za nimi, ale oni nie słyszeli. I oni zajechali na tą łąkę. No i wrócili z mamą, bo tam im powiedzieli, że tata pojechał do domu. Myśmy weszli do domu, gestapowiec tam siedział przy stole. No i w każdym razie tak było. A u Olków nie było też, to były same kobiety, no bo jeden już był w obozie, drugi pojechał do siana. A wujek pojechał do Poznania, rano pojechał już przed tą rewizją. Były same kobiety. Więc tak: wzięli kuzynkę, Walcię wzięli i powiedzieli, [00:15:00] jak ojciec się zgłosi, to ją wypuszczą. I mój tata poszedł do śledczego. Tatę do śledczego wzięli, tutaj przy starym targu, gdzie tam była nasza policja, a kuzynkę wzięli do więziennego tam. No więc na drugi dzień wuja przyjechał i idzie do tego gestapo. Nikt nie chciał iść dorosły, no więc kto szedł? Fela szła z nim, dzieciak. Żeby zdać relację, jak to przyjęcie, jak to wszystko będzie. Weszliśmy do góry na gestapo, naprzeciwko liceum to gestapo było. Weszliśmy do góry i tam wuja to załatwił przy okienku. No i dobrze, ja przyszedłam do domu i zdałam relację, jak się to wszystko stało. Więc ja byłam taką do wszystkiego. Byłam już mądrą dziewczynką. Ja żyłam wśród gimnazjastów. U nas bez przerwy byli sami gimnazjaści. Do braci przychodzili. Czesław pomagał w matematyce kolegom, wszystkim. U nas było wciąż wszystkiego pełno. No i teraz... Ja tam nosiłam im jedzenie nieraz do tego śledczego. I tam było dwóch dozorców. Jeden Polak, nazywał się Ziemiak. On mieszkał nad tym więzieniem, nad tym śledczym. No i był Niemiec jeszcze. No i po kilku dniach przyleciał chłopiec, syn tego Ziemiaka, że będą wywiezieni z tego, a stamtąd wywozili do Fortu VII. Uszykowałam jakąś bieliznę, coś, żeby tacie zanieść. A na drugi dzień tata przyszedł do domu. Byłam akurat na podwórzu, jak go zobaczyłam. Przyszedł od strony kanału, od tyłu gospodarstwa. Zobaczyłam, że ojciec osiwił w tym... Przez tydzień osiwił. Jakby poszedł do Fortu, to już by do domu nie wrócił. Potem tata mówił, że kogoś tam wywozili do Fortu. A ten niemiecki dozorca mówił tak po niemiecku: – *Ja, ihr kommt auch.* „Tak, wkrótce też pójdziecie precz”. Na wuja i na tatę. A oni to źle zrozumieli. On miał na myśli, że ich wypuszczą. A oni zrozumieli inaczej. Na drugi dzień tata wrócił do domu. A wuja przyszedł dzień później, bo dzień później się zgłosił. Niemiecka precyzja. I tak się to stało.

Któryś dzień później tata ze mną poszedł znowu pod magistrat. No i dostałam ten bon na sweterek. W Kościanie tylko były niemieckie sweterki z kolorami sztandaru niemieckiego. No nie ma, nie ma nic. Kuzyn Seweryn pojechał do Poznania, miał też, i daliśmy mu to, że ma przywieźć mi też taki sweter. I on mi właśnie to przywiózł. Ten sweterek niemiecki. Jak założyłam, to chłopacy niemieccy myśleli, że idzie Niemka w tym swetrze. Tak jak tu mnie zaczepili właśnie przy tym moście tutaj. – *Bist du eine Deutsche?* Ja mówię – *Nein*. I uciekłam. I nawet ten sweterek, jak byłam w lagrze, to komendant powiedział w Konstantynowie: – *Lepiej, żeby córka tego swetra tu nie nosiła*. A w Niemczech go nosiłam i nikt się nie czepiał. No proszę, różnie bywało.

Jeszcze muszę powiedzieć, no nie wszyscy Niemcy byli źli. Wyszłam raz do Olków, bo tam właśnie codziennie byłam. Zachodzę, po tej rewizji już. Zachodzę, jakiś żandarm tam był, z wujem był. Naprawdę wyglądał jak bandyta. Kawał chłopca, taki kanciasty. I akurat weszłam na tę chwilę, jak on... Na ścianie wisiał portret Kościuszki. [00:20:00] I ten Niemiec się pyta wuja: – *A kto to jest?* A wuja powiedział, że to nasz patriota Kościuszek. Kazał mu zdjąć ten portret, wziął, rzucił na ziemię i potłukł buciorem. Tak się stało. Ja potem zaraz wyszłam. I co teraz dalej mogę powiedzieć? Przychodził nawet do nas jakiś żandarm. To był taki pocziwy człowiek, bo mówię, bo nie wszyscy byli źli. Spod Berlina był. Miał pięcioro dzieci, znaczy z Berlina, miał tam pięcioro dzieci. I jak on przychodził, to z tatą się zamykali w pokoju. On prosił zawsze, żeby jakiegoś kurczaka czy jajka, czy coś, bo chciał wysłać paczkę. I nawet nie mieli imienia ani nazwiska jego. Ale z tatą sobie siedzieli, nie wiem o czym rozmawiali. I tak żeśmy sobie nieraz mówili: – *No jakby nas wysiedlali, może by, żeby tak ten...* Bo myśmy na niego mówił Dziadek. – *...żeby on przyszedł, żeby on nas tego*. No i tak się stało, że akurat on przyszedł nas wysiedlać. O piątej rano, 4 kwietnia, o piątej rano zapukał do drzwi. Tata wyszedł. On powiada: – *Panie Mocek, niech się pan zabiera, niech się pan pakuje. Za dwie godziny na ulicy, na wozie i do starej rzeźni*. To był skromny... Naprawdę nie wszyscy byli tacy bandyci.

Paweł Salacki: Rewizja u Olków.

F.K.-S.: Tak, mówiłam o rewizji.

P.S.: Radio w budzie.

F.K.-S.: Aha, bo ta rewizja była u Olków. U nas, u Olków i jeszcze u kogoś na wsi. U Sobieralskich ta rewizja była. U Sobieralskich znaleźli radio w piwnicy. U Sobieralskich był

trójkąt. Mąż, żona i kochanek. Kochanek wziął to na siebie. I jego wzięli. A u nas nic nie znaleźli. Aha, bo jeszcze muszę dodać jedno. Zapomniałam. Kiedy ten gestapowiec tatę przesłuchiwał, to pokazał mu anonim. Po polsku pisany. To do gestapo był anonim, że u nas, u Olków i u Sobieralskich jest radio, broń i konspiracja. I ten gestapowiec pokazywał tacie, czy poznaje pismo. No nie poznawał. A oni byli wściekli, bo nic nie znaleźli u nas. Gestapowiec pyta się tatę o broń, bo tata miał zameldowaną broń, miał zezwolenie. Już tata myślał, co tam powiedzieć, że żołnierzom chciał dać. Jak u nas wpadli z końmi, ułani wpadli. I jak zaczęła się wojna, na podwórze tata im dał obroku i jechali dalej. To z Leszna byli ułani. Ale ktoś w tym momencie wywołał tego gestapowca do telefonu. Jak gestapowiec wrócił, już tego pytania nie powtórzył. To było to szczęście właśnie. To właśnie chciałam powiedzieć. Wiedziecie, to nie jest tak, że ja coś piszę. To jest trudno coś... Mi chodzi właśnie o tę chronologię. Już pod setkę. [śmiech]

A.W.: Zaczęła Pani mówić o wywóźce. To był 4 kwietnia...

F.K.-S.: 4 kwietnia 1941. Z Kielczewa wtedy 26 rodzin było wysiedlonych. 25 gospodarzy i jedna pani z trojgiem dzieci. Pani Antkowiakowa. Ona tam nic nie miała, tylko z tymi dziećmi była. I ta pani Antkowiakowa miała córkę i dwóch synów. I ta córka jest w tej chwili teściową tego lekarza, tego Wyrwy. Ona jest Antkowiak z domu. Znamy się dobrze. Zawieźli nas do Łodzi autobusami. [00:25:00] No i oczywiście ja tam już dostałam tych... Siedziałam na ostatnim siedzeniu, więc choroby morskiej, autobusowej, już tam miałam problemy. Później gdzieś autobus przystanął, wszyscy trochę wyszli. Po sześciu godzinach żeśmy dojechali do Łodzi na ulicę Kopernika. Pod wieczór już.

No i na drugi dzień prowadzili nas do drugiego, na ulicę Łąkową, tam bardzo blisko. Ja mam zdjęcia stamtąd. I do tak zwanego odwszawiania. Oddajcie złoto, pieniądze, oddawajcie wszystko. Rewizje i co tylko. Myśmy nie mieli. Tata nie brał żadnego, ani jednej marki. Bo mówi, dla jednej marki czy dwóch nie da się zabić. Bo to zabijali nawet przy tym. No, nie da się zabić. Nic żeśmy nie mieli. Natomiast tam było tak, że się weszło na korytarz, to tam już jeden Niemiec, gestapowiec zapisywał. A przed tym były takie... To była duża sala, boksy z desek. Jeden, drugi boks. Do jednego boksu wchodziły kobiety z dziećmi do 7 lat, do drugiego mężczyźni z większymi chłopcami. Więc jak się słyszało... To nie było wysokie, to może było trochę wyższe, jak ta lampa, to ogrodzenie. Te krzyki, te wyzwiska. Wyjście było tam na samym końcu, na środku była długa ława. Jak tam wyzywały: – *Ty krowo, ty świnio, macioro*. Od najgorszych nas tam wyzywały. Jedna do drugiej. Taką miały dużą laskę, taki nóż wielki

do przecinania. To było coś niesamowitego. Moja mama musiała się rozebrać do koszuli, aż tak szukała. No bo nie była zwykłą... Miała kapelusik na głowie, ubrana. To już myśleli, że Bóg wie co tam jest. Ja stałam z moją walizeczką. Jedzenia miałam troszkę: masło, chleb, takie coś. Mnie kazała otworzyć tę walizeczkę. Spróbowała tym dużym knypem maselko i sobie wzięła. Ja mogłam Bóg wie co przewieźć. Mnie nie ruszyła. A innym dzieciom to chciała buciki przecinać, bo nowe. Matka błagała, bo oni niczego innego nie mają. Zabawki przecinały, to tylko dzieci płakały. Tak po trzydzieści parę osób nas tam wpuszczali i znowu następni. A to szybko wychodzić drugim wyjściem. Moja mama jeszcze musiała się ubrać. Już wychodzi, ale przypomniała sobie, że na tej ławie miała jeszcze torebkę. Z czymś, z drobiazgami. I się cofa. A ta Niemra wzięła, to były volksdeutschki, po polsku mówiły. Jak wzięła tę torebkę, jak jej trzasła pod nogi, wszystko się wysypało. Musiała to jeszcze wszystko zbierać. A w drugim boksie, gdzie mężczyźni, słychać było jęki i krzyki. Bili jednego z Kiełczewa. Starszy człowiek już. Miał w kieszonce stare holenderskie pieniądze z czasów I wojny światowej jeszcze. On nie myślał, że takie coś ma oddać, bo ani to pieniądz, ani to wartości żadnej. Za to tak go zbili, że po kilku dniach umarł. Tak go zbili. To wszystko, bagaże, wszystko wyrzucili. Bo bagaże przyjechały później od nas. Kilku chłopaków zostało tutaj, co ładowali. Mój brat też ładował Tadeusz, bo myśmy we czterech jechali. No i on już z nami nie był przy tej selekcji. Do Niemiec jechał. A myśmy zostali w lagrze. I dlatego w lagrze w ogóle żeśmy zostali, że Gubernia już nie przyjmowała, była przepelniona. Więc myśmy zostali już w lagrach.

Stamtąd szliśmy pieszo, kawałeczek niedaleko, tak mówiło się: ulica Leśna. Tak wszyscy mówili, na ulicę Leśną. Po niemiecku Gneisenaustrasse. I tam nas wpuścili znowu za bramę. Całą grupę. Podzielili nas na grupy. Mój tata został grupowym. [00:30:00] Grupa miała około trzydzieści, trzydzieści dwie, trzy osoby. I teraz czekaliśmy na nasze bagaże. Bagaże z tej ulicy Łąkowej, to Żydzi z getta nosili już na swoich plecach. To nam przynosili tam. I oni wchodzili między nas, między te całe grupy, te wszystkie, wchodzili i prosili już o chleb. Już byli głodni. Mama wyciągnęła to, co miała z domu i im tak dyskretnie dała. Tam byli tacy, to też dawali. A oni już prosili o chleb, już byli głodni. Tam byliśmy, to już był 5. Tam byliśmy na jednej sali. I 8 kwietnia kazano nam wszystkim wyjść z bagażem na takie płytami wyłożone całe podwórze wielkie. Bo to fabryka też. Wszystko było takie, że tam było pełno błota śniegowego. Taki był zimny ten... Bo wszędzie zimno było. Bo wszędzie śnieg leżał jeszcze. Tak było wtedy zimno. Tam staliśmy na tym, bodajże może niedługo trzy czwarte dnia. Zmarzliśmy. Czekaliśmy na tramwaj do Konstantynowa. Wreszcie żeśmy ruszyli, a mnie już wzięła choroba. Już, już febra. Zajeżdżać do Konstantynowa, prawie 12 km. I potem tam tramwajem. Przy samym lagrze był

przystanek. No wychodzimy tam na ten bruk. Febra mnie już trzęsła, już stałam, płakałam. A nas pojedynczo wpuszczali, bo patrzyli, czy ktoś nie uciekł w czasie drogi z tego tramwaju.

I nas tam wpuścili na zimną salę. Już mnie wszystko trzęsło. No ale później były przywiezione bagaże, potem, końmi wozem. No i dali nam właściwe już te miejsca na sali. 35 cm na osobę. Tak, że myśmy mieli metr pięć. Mama, tata. Tato jest przy kości. Ja trochę szczuplejsza. I jak się chciałam przewrócić, to musiałam wstać. Bo obok mnie już pani z miasta Sierakowa leżała. Musiałam wstać, żeby na drugim boku się położyć. Tak było ciasno tam wtedy. Było nas ponad 600 osób na sali. Sala 50 m długa, 17 m szeroka. I było 6 takich długich legowisk przez całą salę. W środku szeroki ganek.

No i tam leżałam 2 dni na tej sali. Gorączka, wszystko. To była środa, czwartek. W piątek, mam wszystko opisane tu. Lekarz Ukrainiec był tam z rodziną. Wszystkich wyrzucał na dwór. Bo trzeba salę wietrzyć, bo coś. Okna były na przestrzeń. To z dwóch stron. To wielka fabryka. No ja nie powinnam wyjść na dwór, bo to jeszcze... Jeszcze taka... Ale temperatura, nie temperatura, nie było mowy, żeby... On mówił: – *Chorzy są w rewirze*. Rewir to w izbie chorych. A na sali są zdrowi. Rzucał miotłą, deptał po piętach, wyrzucał wszystkich. Dwie godziny na dworze wystarczyły. Na zimnie. Śnieg leżał jeszcze pod płotami. Wieczorem już byłam w rewirze. Już chora. I on stwierdził, że mam rdzeniowo-mózgowe zapalenie opon mózgowych. I teraz co? To był piątek. W sobotę leżałam. W niedzielę dali mnie na oddział zakaźny.

A w poniedziałek już miałam to szczęście, że... Bo karetka kursowała zawsze, żołnierz jeździł tą karetką, między Łodzią... W Łodzi był taki duży szpital, też w fabryce. I tam na dłuższe leżenie się jechało. I czasem przyjeżdżała przed południem, czasem po południu. I miałam to szczęście, że zabrano mnie przed południem. Jeszcze z Kiełczewa jechał jeden chłopak, 21 lat, Kaziu Gidaszewski. On był w książce, że tam umarł. On też miał tę samą chorobę, tylko lżejszy stan. A mnie już wnosili do karetki. Ja już w ciężkim stanie byłam. Ja tam w tej karetce jego się trzymałam, bo jakby jego nie było, to bym leżała na podłodze. Po tych kocich łbach 11-12 km, to nie wiem, jak bym wyglądała. I tam nas zawieźli do łagrowego szpitala [00:35:00] na ulicę Zieloną. I miałam to szczęście, bo tam o godzinie 14 przychodził z miasta lekarz. Zielina się nazywał. I to była jedyna wizyta w tym szpitalu. I tylko on mógł mnie przekazać do miejskiego szpitala. Bo w tym szpitalu tego nie leczyli. Tam się wszystko tłoczyło. Kobiety, dzieci, mężczyźni. Wszystko było jedno obok drugiego. Wszystko tam mieli: te wyrka takie tam, wszystko to leżało. Tylko dzieci były na trzecim piętrze. Tam kobiety też rodziły. Mnie

tam, bo ja wiem... Tak mnie zawieziono przed czternastą. Lekarz przyszedł. Leżałam na wyrku, tylko tam przykryte przez środek słomą, niczym. Tylko płaszczem swoim przykryta. Tu wymioty, tu coś tego.

I teraz jeszcze bym musiała cofnąć się wstecz. Bo w styczniu 1941 roku, jeszcze przed wysiedleniem, pojechałam z moim tatą do Poznania. Do okulisty, do doktora Skowrońskiego. Przed wojną to była ulica Rzeczypospolitej. To jest ten łącznik, który jest od Placu Wolności do Starego Rynku. Taka idzie ulica. Bo musiałam mieć, bo by mnie do gimnazjum nie przyjęli bez okularów. I tam żeśmy pojechali. Mieliliśmy przepustki. Musiały być na pociąg. I tam w jednym dniu miałam piękne okulary zrobione. Bo tam już mieszkał mój brat, bo mój brat się ożenił w 1940 roku, już tam w Poznaniu mieszkał. Dokładnie się ożenił 11 listopada, więc znana data. I ja tę receptę...

Jak mój tata szykował nas do wysiedlenia, to nam popisał na workach. Każdemu jeszcze osobisty worek z imieniem. I to ja już naprzód wszystko szykowałam. Te zdjęcia przeróżne, co tu mam, to wszystko, to ja już do tego worka wszystko, wiele rzeczy pakowałam. I między innymi tę receptę też tam schowałam. Na szczęście schowałam.

No i teraz, jak tam w tym szpitalu byłam, to przyszła Żydówka, tam obsługiwała oczywiście. Przyniosła mi do wymiotów. I zdjęłam okulary i położyłam koło łóżka. Lekarz przyszedł, przekazał mnie, bo ktoś mnie przed tym prowadził. Na drugie piętro mnie tam prowadzili. Prowadził mnie ktoś, jakiś mężczyzna mnie prowadził, bo ja już nie mogłam sama iść. Bo już karku nie pięłam, w kolanach nie szło wyprostować nóg. Już byłam cała w gorączce. I jakiś mężczyzna mnie prowadził wtedy, jak tam żeśmy dojechali. Prowadził mnie na drugie piętro. Szłam i płakałam, bo mnie wszystko bolało. Potem leżałam na tym wyrku. Później, jak lekarz przekazał, to znowu mnie ten gość sprowadzał na dół. No i teraz zajechałam do... I ten chłopak też ze mną jechał tam do tego. I zawieźli mnie do miejskiego szpitala na zakaźny oddział. Cały barak był właśnie ta choroba. Bo mój lager jeszcze w Łodzi też był, więc z lagru z Łodzi tam byli ludzie. Z Konstantynowa byli, bo ja już przyjechałam z Konstantynowa. I z miasta też byli, bo tam wtedy panowała epidemia. I tak mnie wzięli do kąpieli. To tylko widziałam, jak woda leciała i straciłam przytomność. Bo mnie tam pielęgniarki wykąpały, przytomność straciłam. To był poniedziałek, drugi dzień Wielkanocy. Ale kto tam wtedy myślał o Wielkanocy. Już w tym dniu miałam punkcję robioną kręgosłupa. I to był poniedziałek. Musieli mnie wiązać, bo po punkcji trzeba leżeć na wznak. A do mnie nic nie docierało. I jak leżałam, to mi ręce wiązali, żeby ja tak leżała. Bo ja chciałam leżeć na brzuchu. Tak mnie tam wiązali.

Poniedziałek. W środę następna punkcja. Jeszcze nieprzytomna, jeszcze byłam wiązana. W sobotę następna punkcja. Ale w sobotę rano odzyskałam przytomność, z wielkim szumem głowy. [00:40:00] Ja nie słyszałam. Tak organizm walczył z tym, bo opowiadała mi tam siostra, Polka, która tam była, mówiła, że jak mnie tam przywieźli, to lekarz machnął ręką. – *No, z tej już nic nie będzie.* Ale musiałam mieć silny organizm i po tygodniu odzyskałam przytomność. Byłam przytomna. Jak mnie wtedy zobaczył: – *No, jak za 4 tygodnie wyjdzie, to będzie dobrze.* I rzeczywiście po czterech tygodniach wyszłam. Ale tam było tak, że ja szum i nie słyszałam. Całe szczęście, że był szum, bo gdyby nie było szumu i bym nie słyszała, to bym była w ogóle głucha. A szum po dwóch, trzech miesiącach ustał. Organizm się wyciszał już. I jak ja się obudziłam, to ten chłopak już chodził. Ten, który ze mną był. Bo musiał przejść przed naszą salę do ubikacji, bo tylko przepierzenie było. Bo mężczyźni w przodzie... Po trzech tygodniach lekarz mi kazał już wstać, bo tylko mogłam za zezwoleniem lekarza siadać. Wstać. Po polsku mówił. To był nie wiem, to był Polak. W każdym razie, to ten chłopak już jechał do lagru, już był tak ozdrowiały. A ja tylko mogłam iść przy pomocy kogoś, bo sama nie dałabym rady. W tym szpitalu była pani z Łodzi. Nazywała się Wanda Konarzewska. Jej mąż był mistrzem w boksie w Polsce, ale nie wiem, w jakiej wadze. Ten mąż do niej przychodził. Taki masywny mężczyzna. I ona tak leżała naprzeciwko mnie, w drugim rzędzie. Ona mnie bardzo polubiła. Bo ona też ciężko przechodziła, więc ona widziała, jak ja przechodziłam. Bo ja po nocach gadałam, to tylko ludzie nie mogli spać. Nic nie wiedziałam o niczym. Bo jak przywieźli taką jeszcze drugą panią obok mnie, co 2 dni też gadała, no to możecie wiedzieć, jaka była tam rozmowa. Siostra przychodziła i mówi: – *Pani Jankowska, niech się pani do Feli nie odzywa.* – *Dobrze, dobrze.* A ja odeszłam i mówi: – *Ty nie mów nic, bo ona była i się gniewała.* Takie tam rzeczy były. I ta pani Konarzewska... Widziałam tego męża, bo to po drugiej stronie, postawny mężczyzna. Jeszcze wtedy w maju śnieg padał, tak było zimno. Tak, w maju śnieg padał. No i pani Konarzewska jak wyszła, to potem dwa razy paczkę przez dziewczynę, która jej dziecko miała, Zygmunusia dziecko, przysłała tam do... Tam były pomarańczka, takie ciasteczka. Coś mi tam przysłała.

I teraz, jak już miałam wychodzić, to... Teraz się ubieram, wszystko ubrane. Ja mówię: – *A okulary.* – *Ty okularów nie miałaś.* Powiedzieli mi. Okulary zostały tam. Nie wiem czy rozdeptane nie zostały, jak ja odłożyłam w tym szpitalu. Dobrze, że miałam kochaną receptę. Proszę. [F.K.-S. pokazuje receptę na okulary: AD_MBPKoscian_002_01] Tu jest recepta archiwalna. I mój tata wysłał do Poznania do brata. I takie same okulary mi przysłali. Gdyby nie to, byłabym bez okularów. I one mi służyły cały czas w Niemczech i z tymi okularami

przyjechałam. Możecie państwo przewidzieć moją dziecięcą przewidywalność. Tak. To było ważne. I oni mi przysłali.

Potem, jak wróciłam... Ja się jeszcze przewracałam, byłam zła na nich. W każdym razie, ja stamtąd musiałam jechać znowu do lagrowego szpitala, bo musieli mi wypisać papiery. To był piątek. I z tej karetki mi kazali wysiąść, iść na pierwsze piętro. Tam były 3 piętra w tej fabryce. No nic. Poszłam na to pierwsze piętro i nie wiem, co ze sobą zrobić. Teraz dzieci by inaczej... Wtedy dzieci nie były takie, takie w ogóle śmiałe, czy zapytać. Tak siedzę, kręcę się po tej sali. A jakiś pan tam siedział na ławeczce pod oknem i mówi: [00:45:00] – *A ty co tu robisz?* Ja mówię: – *No, ja przyjechałam z Radogoszczy, tam z tego szpitala.* Mówię: – *I tu mi kazali przyjść.* – *A ile ty masz lat?* Mówię: – *No 13.* Tak na mnie patrzy i potem: – *Dziecko, ty żyjesz?!* *To ja cię prowadziłem do góry i sprowadzałem, i się pożegnałem.* Miałam to szczęście, że przed wizytą lekarską... Bo był przypadek, że później byłam jeszcze potem chora na dyfteryt. I przywieźli tam chłopca. Za przepierzeniem był tam. Przywieźli go po wizycie. Dwanaście lat. Maryś Nicek z Szamotuł. On umarł. W nocy umiera, bo nie miał go kto przekazać już do tego szpitala. Widzi Pani. To są takie wspomnienia, wiecie, że tylko mówię: płakać nad tym. I teraz co jeszcze chciałam mówić. No i wróciłam... Aha! Ten pan mnie zaprowadził zaraz na trzecie piętro, gdzie były małe dzieci. Tam spotkałam jedno dziecko z Grodziska. Taki malutki Tadziu. Dużo dzieci. Były panie, które też tam urodziły. Miały swoje malutkie dzieci tam. To było na trzecim piętrze. I rodzice tego Tadzia byli, oni byli z Grodziska, piekarze. Tam się mówiło, że leży. Ale jeszcze zdążyłam tego chłopca, przez 2 dni, jak tam byłam, to jeszcze zdążyłam to dziecko poznać. Miało pocztówkę przy sobie wypisaną: jak się nazywa. Jak tam byłam 3 dni, to się opiekowałam tym dzieckiem. I potem im opowiedziałam, jak do lagru wróciłam, że Tadziu tam jest. I to wszystko.

I teraz na drugi dzień... Tam przychodziła dziewczyna z miasta, która się opiekowała też tymi dziećmi. Miała może 17, 18 lat. Irka. No i na drugi dzień, jest sobota, siedzimy przy oknie. A widok był prosto na ulicę Łąkową. Tam gdzie właśnie ta mordownia była. I z daleka było widać, że się tam kłębi tłum ludzi. Tak patrzę i ja mówię do niej: – *Słuchaj, a może to jest transport z Kościana?* Tak sobie powiedziałam. To był 24 kwietnia [po nagraniu F.K.-S. skorygowała datę; powinno być: 24 maja – 00:47:45]. Mam zapisane. To była sobota. W poniedziałek miałam wypisane papiery. Zajeżdżam do lagru do Konstantynowa, a moja mama mówi: – *W sobotę przyjechał transport z Kościana. Pani Ferfetowa z córkami też tu jest i tam kilka znajomych, wszystko.* I wiem, kiedy przyjechali, do jednego dnia. I właśnie czytałam

o panu Igłowiczu coś, że podobno on też przy końcu maja, że on też tam był. Nie wiem. Tak było wiadomo.

No i potem byliśmy w Łodzi. Potem po jakimś czasie tam było odwszawianie, co tylko. Siarkowanie sali. Byliśmy u kąpieli. No i mój tata w tym czasie, jak tam byłem, to pracował w biurze przy paczkach, przy listach. Wtedy przy tym robił. Jakiś czas był przy tym. No i jak wróciliśmy z tej kąpieli z Łodzi, no to wiecie: nago pod prysznic. Babcie, matki, dzieci małe. Wszystko na nagusa. Babcie płakały. Moja mama też, bo jak to się obnażyć... Dzisiaj by może te mamy nie płakały, ale wtedy tak. Jak to było paskudnie. Naprawdę, no szkoda gadać. Bagaże były. Były na sali. Zostały. No i tam było dużo rzeczy poniszczonych, bo ta siarka... Jak siarka się kopciła na tej sali, to tam poniszczone. Szelgranna się robiło tam przypuścmy zielony, czerwony się robiło żółte okucia. Przecież gdzieś tam rdzewiały. Takie coś tam było. I na tej sali... To już była inna sala.

Po jakimś czasie komendant kazał ogłosić, [00:50:00] że wszyscy się mają zgłosić na głównym ganku. Z całej sali. Bo ja wiem, nie wiem, jaki był szeroki. No trudno mi powiedzieć. Może taki, jak ten stół tam. I z każdej strony były po 3 długie legowiska. No i jak żeśmy się wprowadzili, to wszedł komendant, nie wiem czy dwóch, czy trzech gestapowców z nim. Wtedy salowym był jakiś pan Dobrowolski. Po niemiecku mówił. Też umiał. Mój tata był jego zastępcą, bo sobie on wybrał tatę. I tata też po niemiecku dobrze mówił. I teraz idą, i parę kroków... Ja stałam z mamą. Bo tata, salowy, to oni szli razem z nimi tym gankiem. Jako asysta. Ja stałam z mamą. Takie 2 rzędy tam stały. I może kilka kroków przed nami się zatrzymali i debatowali coś tam. Co się okazało? Oni mnie chcieli wziąć. Do czego? Byłam wyrośniętą dziewczynką. Ale, że ci dwaj potrafili mówić, powiedzieli że jestem po zakaźnej chorobie, że jestem słaba jeszcze. I mnie uratowali. Oni mieli w swoich sztabach dziewczyny do używki. W Bonikowie też były. I prawdopodobnie... Ja już byłam taką wyrośniętą i w ogóle na Niemkę wyglądałam. Ja gdzie byłam, to tylko byłam Niemrą. No i oni mnie: dziecko trzynaście i pół roku chcieli wziąć. Myśmy nie wiedzieli, o co chodzi. Tylko, że ja po wojnie czytałam właśnie wspomnienia takich dziewczyn. Że one nawet tam dzieci rodziły. Że jedna nawet ze szafy skakała, bo była w ciąży. I prawdopodobnie by było to. I jak już wszyscy odeszli, tam w trzech salach byliśmy, to mój tata powiadał: – *Wiesz co, ciebie jedną chcieli wziąć.* Powiedźcie. Mężczyźni, na pewno córki mieli czy coś. Jak oni mogli takie coś zrobić? Dziecko wziąć. Bo ja już nie byłam ani większa, ani inna. Ja już byłam taka, już w tym wieku tak byłam. No widzi Pani? To by było gorsze niż śmierć.

Później po jakimś czasie jeszcze było tak, że na naszej sali śpiewali głośno pieśni kościelne. Była taka pani ze Śmigła. Jak ona się nazywała? O Jezu kochany. Ja mam jej „Wiadomości Kościańskie”. Mam jej pamiętnik. **Zapomniałam. [po nagraniu F.K.-S. podała personalia: Janina Budzyńska – 00:53:25]** I ona to był taki prowadzyciel, bo ona śpiewała w chórze kościelnym. I ona tam była z rodziną. Tam dwoje dzieci brata zmarło. Tam też była z mamą. I w każdym razie głośno śpiewali. A komendant wychodził na ulicę, to on słyszał na tej ulicy. I mu się to nie podobało, że śpiewają. Głośno, bo to „O, mój Jezu...” i tam to wszystko jęcząco. No więc mój tata mówił do tej pani. Pani Janka. Do pani Janki mówi: – *Śpiewajcie, ale ciszej.* Bo on do taty mówił: – *Takie głośne, a po drugiej stronie ulicy domy i to wszystko.* No i teraz on mówi: – *Śpiewajcie, ale ciszej. Bo po co na to...* I rzeczywiście śpiewały ciszej i było dobrze.

I po jakimś czasie zachorowałam na dyfteryt. Tam gdzieś jakiś chłopiec był chory na dyfteryt. No więc znowu co. Do rewirów. Tam już tego doktora nie było. Był inny. Doktor chyba Zieliński się nazywał. **[00:55:00]** I on jeszcze do mnie tak mówił. Ta siostra mi tam dawała zastrzyki, a on mówi: – *No, nażgała cię ta siostra, nażgała, co? Ale ty jej potem oddasz.* [śmiech] No i tam zażartował. Pojechałam do Łodzi do tego lagrowego szpitala znowu. I tam byłam cały miesiąc. Zastrzyki, wymazy i co tylko. Jak już wymaz był dobry, nie było coś, no to wtedy się odchodziło. No więc byłam tam 4 tygodnie. Miałyśmy tam dobrze. Bo tylko od kuchni... Za przepierzeniem była kuchnia. Tylko odsunęły kłapę: – *Chcecie jeszcze jedzenie? Bo jeszcze zostało.* Tam żeśmy się najedli do syta. Tam nas było sporo. Dzieciaki z różnych stron były. I z Poznania, i tam inni jeszcze. No i tam właśnie tą piosenkę mnie nauczyła, co ja zaśpiewałam. Czy ta piosenka jest nagrana? Tak? O Jezu kochany. [śmiech]

Bardzo fajna dziewczyna. I ona pięknie rysowała też. Ale miała świerzb. Ona miała taki świerzb, że po prostu była cała bandażowana, cudowana. No nie wiem, dlaczego... To był ojciec urzędnik z Poznania. Magistracki urzędnik. Oni się wstydzieli iść do lekarza czy coś takiego. Miała brata jeszcze, mamę i tatę. A ja, bo tam było tak w lagrze, że rano się ściągało koszulę, w niej szukało się wszy w zakamarkach. Wieczorem szło się i każdy się rozbierał. Wieczorem szło się spać, ściągało się, znowu się szukało. Bo zawsze coś tam gdzieś było. Gdzieś tam miałam też usztaplowane w koronce, to pewno ze 6 czy 7 mnie tam żarły. Dopiero kiedyś je zobaczyłam, że w tych koronkach siedzą. Nawet spadywały, bo to wszystko tam w środku drewniane było. I teraz, jak byłam w lagrze, no to wyczesywałam codziennie. No bo inne są na głowie i inne w ubraniu. Na głowie szare, w ubraniu białe, z cętką. W lagrze się wyczesywałam codziennie. A tam, jak leżałam, no to nie. Jak mnie żarły. I taka była Irka. Tam była taka dziewczyna fajna, co koło nas chodziła. I ja mówię: – *Pani Irko, niech pani coś robi,*

bo ja już nie wytrzymuję. Tak mnie żrą. A miałam ze sobą; mama mi dała, bo tam trzeba było mieć swój garnuszek, swój ręcznik, swoje wszystko... Frotowy, piękny frotowy ręcznik. Więc połała mi głowę czymś, tym ręcznikiem owinęła. Jak zdjęła, to były setki wszy w tym ręczniku poutykane. Możecie sobie wyobrazić. I tam jak byłam, to właśnie tego chłopca, tego Marysia, tam przywieźli. Bo z jego siostrą się kolegowałam i mam ją wpisaną w pamiętniku. I ten biedny chłopiec umarł. I tak widzi Pani. I teraz, już miała...

A.W.: Może Pani pokaże ten pamiętnik?

F.K.-S.: W tym pamiętniku mam. Zaraz zobaczę, w którym miejscu ona jest. Stasia Nicek. No jest: Nickówna Stasia tu jest. [F.K.-S. pokazuje wpis Stanisławy Nicek w „Pamiętniku Konstantynowskim”: AD_MBPKoscian_002_02 str. 18]

A.W.: A proszę jeszcze opowiedzieć o tym pamiętniku.

F.K.-S.: O pamiętniku? A to jest późniejsze. To ja później opowiem o tym pamiętniku, później.

W tym czasie, jak ja byłam w szpitalu, to wszyscy byli przeniesieni znowu z Konstantynowa do Łodzi na tą Leśną. Bo Konstantynów był wapniony i odwszawiany i to wszystko tak było. I jak już kończyłam tam, że już miałam iść do domu, od razu przychodzi do mnie do okienka mój tata w tej Łodzi. I mówi: – *Przywieźli nas do Łodzi*. I przyszedł, bo tam z lagru donosili żywność, prowiant do tego szpitala. I on się zgłosił do tego prowiantu, żeby ze mną porozmawiać [01:00:00] i powiedzieć, że jesteśmy na Leśnej. Mówił mi, na jakiej sali, bo już kiedyś tam byliśmy 3 dni, to już wiedziałam, co i jak, ten rozkład tego. I już wiedziałam, gdzie iść do domu. I dobrze. I teraz na zakończenie od wyjścia, jak wychodziłam, to jeszcze taki był wtedy dobry obiad. Płatki owsiane na rosół. W kuchni była ta kucharka, pani Ross się nazywała. Wspaniała pani, bardzo dobra. I ja wzięłam tego rosółu w tym garnuszku i idę. Jeszcze dwóch ozdrowieńców ze mną szło do lagru, pod karabinem z żołnierzem. I to jedzenie rodzicom zaniósł.

Tam było do wytrzymania. Była mała salka. Było nas tylko 80 osób. Tam były Fawiry, grzały Fawiry. Bo to już była zima. Bo w Konstantynowie takie wielkie piece blaszane, a tutaj Fawiry już, tu było ciepło. I tu było nas niedużo. Wszyscy żeśmy się tam znali. I jak zaszłam do tego lagru, to patrzę: z jednej strony mam z Leszna, Szymczak z chłopakiem, z Romanem, w moim wieku, potem moi rodzice, a z drugiej strony rodzice właśnie tej Urszuli, co była ze mną na dyfteryt i jej brat Jurek z rodzicami. A ja w środku. I było nas takich trzech równiaków. To myśmy w karty grali. Bo taka trójka. I jeszcze ten z Leszna powiada: – *Wiesz co? Rodzice*

twoi mówili, że jeszcze jest córka w szpitalu. Ale ja sobie ciebie inaczej wyobrażałem. Ty jesteś ale fajna. [śmiech] No bo ja byłam z chłopakami wychowana. Ja przy chłopakach w kartach wszędzie byłam. Ja już umiałam, w różne gry, w karty grałam już w domu. Jej brat już też miał świerzb. Myśmy grali w karty i ja się nie зараziłam od niego. I tam też była rodzina w naszej grupie z Górki Duchownej. Był gość, który miał sześcioro dzieci. Dostawali tu do dzieci, dostawały mleko. A że mój tata był grupowym i poprosił go, żeby mi dał kubek mleka, od tej całej ilości, jak on miał, żeby mi dał kubek do wypicia. I po tym mleku przyszedłam trochę do siebie. I tam było tak, że przypuścimy komendant, mówiliśmy na niego Dziadek, on nie przyszedł na żadną salę. Tak jak ten nasz komendant w Konstantynowie to jak wszedł na salę, to cisza, że biada jakby dziecko zapłakało. A ten tutaj to nigdy nic. Po przepustkę można było do niego iść. On dał przepustkę. Jak się powiedziało, że się chce kupić musztardę czy coś. Bo jak chleb z margaryną, no to wiadomo, musztardą się... Albo przysłali z domu cebulki trochę, żeby skorbutu nie było. Takie coś tam.

I tam lagrowym był z Poznania ten Jakubowski. Fajny człowiek. I przychodził właśnie do tego z Leszna, do tego tu przychodził. Tu żeśmy rozmawiali. I był moment taki, że były święta Bożego Narodzenia. I ten Jakubowski co wziął na swoją głowę? Uzgodnił z komendantem, że dał mu 200 przepustek *in blanco*. Że ludzie mogli iść, kto chce, może iść do kościoła. I on kogo tam pewnego, to on te przepustki rozdawał. I mówił: – *Ale wróćcie z powrotem, bo ja zapłacę za to głowę*. I faktycznie myśmy wtedy... Było tak zimno wtedy w to Boże Narodzenie. Myśmy pojechali. Tylko w jednym kościele były msze. Więc jak myśmy tam pojechali, myśmy już w Łodzi niczego nie zwiedzali. [01:05:00] Bo z kościoła prosto do lagru. Bo nie szło wytrzymać zimniska. Jak do domu żeśmy ciągnęli. Bo tam był dach nad głową. A tam było niesamowicie.

No i potem połowa stycznia: z powrotem do Konstantynowa. Znowu kąpiel. W ten mróz. 20 stopni mrozu, a my do kąpieli znowu. Po kąpieli z mokrymi głowami z tym wszystkim idziemy na tramwaj w Łodzi. Do Konstantynowa. Tam któraś osoba zmarła potem. Jedna z rodziny zmarła. Tu mam napisane w książce. Myśmy tam w ogóle byli. Sześcioletnia dziewczynka z Kielczewa wtedy zmarła. To myśmy szli po tej Łodzi. Bo nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie idziemy, gdzie jedziemy. Nigdy nam nic nie powiedział. No więc każdy trzymał trochę tych swoich koło siebie takich drobiazgów. Idziemy, ręce marzną. Idziemy, płaczemy. Ludzie nam się przyglądają, a my idziemy, płaczemy. Coś okropnego. Naprawdę. Wróciliśmy do Konstantynowa. Było nas tylko ludności na dwie sale już teraz. Bo tam powyjeżdżały. W tym czasie, kiedy ja byłam chora na dyfteryt, to wtedy córki pana Ferfeta

wyjechały z transportem na roboty do ziemniaków. Zbierać ziemniaki. Podobno bardzo źle trafiły. Bardzo źle trafiły. Tam wtedy pojechało sporo ludzi. A myśmy nie wiedzieli, bo ja byłam w szpitalu wtedy. No i teraz. Z powrotem do tego... Byliśmy na pierwszym piętrze. A na dole na salę była przywieziona słoma.

Ale też wtedy komendant zrobił mojego tatę lagrowym. Tata nie chciał. Przecież tyle znajomych ludzi, wiadomo. Ludzie głodni, zdenerwowani, czy coś. Ale on nie chciał w ogóle tego słuchać. Powiada: – *Ja nie widzę nikogo innego na to miejsce.* Tak mu powiedział. Więc tata był tym lagrowym. Więc pod nim były właśnie tam, na dole, potem byli tak, że pletli. Robili takie papcie dla żołnierzy. Ze słomy. Jak stali na straży gdzieś czy coś, w tym jeszcze stali. Tam było wszystko. Wybierane te słomy. To dziewczyny tam wybierały. I z tego powodu to jest teraz. A to ja sama robiłam.

A.W.: Proszę pokazać.

F.K.-S.: To sama robiłam. [F.K.-S. pokazuje „Pamiętnik Konstantynowski”: AD_MBPKoscian_002_02] Bo byli tam tacy ludzie, którzy umieli to robić i mnie nauczyli. To już się całe niszczy. Tu jest wpisane. Tu jest, naszkicował mi pan nadleśniczy, pan Lucjan Teurich. I tu jeszcze miałam narysowany szkic tego lagru w Konstantynowie. Bo pan Teurich to starszy nadleśniczy, samotny. I on pięknie szkicował. Ale jak ten słownik miałam w Niemczech, i tak postawiłam na stoliczek dla ozdoby... A mój bauer miał siostrę psychicznie chorą, to ona weszła do tego mojego i sobie to wyrwała. Ten szkicek właśnie. No i tu mam jeszcze... Tu mam wszystko, widzi Pani. Tu jest jego... Tu się podpisał. [F.K.-S. pokazuje wpis Lucjana Teuricha w „Pamiętniku Konstantynowskim”: AD_MBPKoscian_002_02 str. 7] To było za skibkę chleba. „Nie trać nigdy nadzieje / Jakoć się kolwiek dzieje, / Bo nie po raz ostatni / Słońce zachodzi, / A po burzliwym dniu / Piękny dzień nadchodzi.” Podpisał się 25 marca 1942 roku. Lucjan Teurich, nadleśniczy. On tam umarł. Bo ja mam w książce od pani z Warszawy, to on tam umarł, jest tam. I teraz co? Aha! A jeszcze przedtem. Jeszcze powiem przedtem, jak jeszcze nie byliśmy w Łodzi. Bo to muszę znowu powiedzieć.

Chleb dostawaliśmy. Były dwukilogramowe bochenki okrągłe. [F.K.-S. pokazuje kopię podziałki do chleba: AD_MBPKoscian_002_03] I teraz: póki był chleb na 4 części, no to łatwo było podzielić. Po 500 gramów każdy. No ale tak się złożyło, że potem chleb obcięli. Teraz chleb na 6 osób. [01:10:00] I jeszcze klinik było. Bo tu jest na 6, to było tak... Teraz jak to podzielić ludzi? Każdy patrzy na ręce. I mój tata z paczki od kartonu wyrysował takie coś. Że jak się włożyło na chleb, na środek... Tu była dziurka. Tu się przykładalo. I teraz tak.

Jak przypuścimy były dwie osoby, tu i tu robiło się kreskę i się kroilo. Jeszcze musiała być połowa tego dla dziecka poniżej czterech lat. A później musiało trochę zostać jeszcze od tego, tak było. No więc to sobie odrysowali wszyscy grupowi w lagrze. Dzięki mojemu tacie nie było kłótni o chleb. A bo to tu, a to mniej, a to więcej. Bo każdy był głodny. I wszyscy to mieli. Ja tylko to tak sobie w domu narysowałam. Bo tam było według chleba. To było szersze, większe. Bo były dwukilogramowe chleby.

Tata grupowym był i lagrowym. Nie dał rady by, żeby być i lagrowym, bo musiał dopilnować i tą słomę, no i w biurze. No to ja go zastępowałam. Miałam już wtedy 14 lat. Grupę miałam wielką, bo nam dołączyli... W Łodzi byli Cyganie. Dołączyli nam 16 osób Cyganów do naszej grupy. Inni mieli 30 osób, a ja miałam 47 osób. Ja rozdzielałam chleb. Rozdzielałam, jak była marmolada, to tam garnuszki były stawiane. I margarynę. Ale margaryna to były kostki 500 gramowe. I to tak się, dziurki i to to. Bo tata już nie miał czasu. Ale kawę i obiad, tata powiada: – *Ty nie możesz tego rozdawać, bo cię zadziobią.* Tam była jedna pani taka pyskata, z synem. To ta: ta to rozdzielała, bo jej nikt nie podskoczył. Bo jak tu gdzieś: a tu jeden kartofelek, a tu trochę jakiś buraczek trochę coś. To jej nikt nie podskoczył. Bo mnie by tam zagryźli wtedy. I tak sprawa wyglądała. I Cyganie. 16 osób. Do dzisiaj pamiętam nazwiska wszystkich. Widzę ich wszystkich jeszcze. I chciałam się nauczyć coś po cygańsku. Dzieci nie chciały mówić. Znałam tylko 3 słowa. To jeden z tych chłopców mnie tam puścił. Mówię: – *Powiedz mi, jak się mówi na chleb.* – *Manro.* Mówię: – *A jak na kielbasę?* – *Goj.* – *A na mięso?* – *Mas.* I już więcej nie chciał mówić. Tam było tak, że był Jan Weinlich z żoną i z matką. To było młode małżeństwo, dziecko im tam przedtem umarło. Szubert z sześciorgoma dziećmi. Mężczyzn nie było więcej. Bo mężczyźni, kiedy oni byli w Łodzi, pouciekali. Gdzieś tam chodzili świnie paść czy coś tam. I oni pouciekali i te kobiety pozostawili. Tylko ten jeden z tą młodą żoną został i z matką. Szubert z sześcioma dziećmi, chłopcy i dziewczynki. Druga Szubert z trzema chłopcami. I Burjańska z jedną dziewczynką malutką. Ta była cichutka, a te drugie wszystko było pyskate. I jak przyniesiony był chleb, obok był stół, kroila ten chleb. To chłopcy już stali i skandowali: „Pani Fela krejcie chleba, Pani Fela dejcje chleba.” I najpierw im szykowałam, bo oni już ten chleb rano jedli. A u nas chleb żeśmy jedli, był w walizeczce, co trzeci dzień. Bo mama mówiła: – *Starszym chlebem się najemy.* Chleb był jedzony co trzeci dzień. A ci zaraz to jedli. A jak dostali skądś paczkę, bo też mieli krewnych gdzieś, to od razu wszyscy siadali i wszystko zjedli. I tak było z nimi. Takie przejścia.

No i w końcu co się stało? Była jedna pani, obok nas leżała, z Chodzieży. Pani Nowicka z mamą i dwoma, z synem i córką. [01:15:00] I teraz, jak była ta, te papcie tam robili, to doszedł nowy

komendant. To już był trzeci komendant. Nazywał się Jobski. Po polsku mówił. I on był właśnie od tych wspomnianych butów. Ale oprócz tego mój tata musiał jeszcze to dopilnować. Już było tak, że ktoś tam źle robił, bo się mówiło szewcy i tam warkocze robią. Mieli tam swoje nazwy. I mówił tata: – *Źle ten człowiek szuł. Nie chciałem, żeby ktoś posądził nas o jakieś coś tam, że nieprawidłowości.* I mówi, a on się upierał. Powiada: – *Poszedłem, wyszedłem na dwór.* Mówi tata: – *Pospacerowałem, uspokoiłem się.* Bo mój tata potrafił wytłumaczyć. On miał to, że on potrafił ze spokojem wytłumaczyć. I mówi: – *Poszedłem do niego jeszcze raz. Jeszcze raz mu tłumaczyłem i zrozumiał.* I wtedy robił inaczej. Bo mój tata, gdzie na sali coś się rozgrywało, to mój tata potrafił ten konflikt, nad konfliktem zapanować. Potrafił to. No i tak, że coś jeszcze chciałam mówić, coś o lagrze. Holender. Nie wiem. Aha!

Jeszcze chciałam mówić, jeszcze przedtem w Konstantynowie od początku było dużo ludzi z Grodziska. I naprzeciwko nas było młode małżeństwo. On był nauczycielem. Nazywało się Krych. Dziecko już im tam jedno zmarło. I oni nie mieli się nawet czym przykryć. A że leżeli prosto, okna była wnąka, to w tej wnące, tylko jego płaszczem się przykrywali. I tak było, że u nas w bagażu była kołdra watowana. Mogliśmy to wziąć ze sobą. I rodzice uzgodnili, że im tą kołdrę dadzą. I potem już normalnie leżeli, jak wszyscy, bo mieli się czym przykryć. I jak żeśmy pojechali do Łodzi, oni już byli na innej sali, gdzie indziej. I potem myśmy wracali z Łodzi znowu do Konstantynowa, to ten pan przyszedł... Aha! Ten pan Krych to jeszcze był taki: on mi tam pasjanse układał, różne. Bardzo fajny człowiek był. On nawet mi mówił „Pani”. Ja miałam z nim dobry kontakt. I ta pani też była bardzo miła. Ona była w ciąży potem znowu. Teraz my wracamy do Konstantynowa, a on przychodzi do taty i mówi: – *Panie Mocek, my zostajemy, my nie jedziemy do Konstantynowa. Ja muszę panu oddać tą kołdrę.* A tata: – *Nie, to jest pana kołdra.* To chciał tatę po rękach całować. Bo mieli się czym przykryć. Drugie dziecko urodziła i też umarło, bo mam w książce, że te dwa dzieci umarły tam. No tak było.

Mnie znowu jakieś wypryski na twarzy, na rękach gdzieś coś dostawałam. Sucha skóra, wszystko. No wreszcie znajomy z Kiełczewa postarał się. On był w Meklemburgii u kogoś i tam miał dobrego bauera. I tak tam uzgodnili, że ten bauer miał brata w Hanowerskim. I żeby ten brat zrobił wniosek, bo tak można było, wniosek o to, że on nas potrzebuje do pracy tam, w Niemczech.

Aha! Bo jeszcze coś powiem. Tata, jak był lagrowym, to wziął sobie kogoś jako zastępcę lagrowego. Miał tam na podwórzu pracy dopilnować, bo tam wszystko było w zeszytach zapisane, gdzie kto ma iść do pracy. Wodę wozili, wozem bez koni. To wszystko było. Kobiety

sprzątały, czy tam schody. Do ziemniaków szły do obierania. Moja mama też to wszystko robiła. Też to wszyscy. I teraz ten, kto się nazywał... Ze Sierakowa miasta chyba byli. I on był bez ręki. Nie miał jednej ręki i czworo dzieci. No i on tam był na podwórzu. [01:20:00] I on jeszcze do taty mówi, bo przy sali był taki pokoik jakiś, że trzeba było wejść do sali i z tej sali się wchodziło. Na drugim piętrze jeszcze były te dwa pokoiki. Jak myśmy zajechali, to lagrowym był z Leszna inżynier, który pracował w tej fabryce pomp. Tylko nazwiska nie pamiętam, bo miał jakieś niemieckie nazwisko. I w tym czasie coś się stało, że ktoś napisał wiersz. Mam ten wiersz tutaj. Można go potem odpisać. Ja go mam nawet w książce. Ja potem pokażę ten wiersz. I tam jest w tym wierszu na naszego komendanta, że to jest niedźwiedź mordobiciel. Bo to był bokser. On był bokserem, on wiedział jak bić. I on dociekał, kto to napisał ten wiersz. I on to potem tak... Wtedy komendant chciał... I tam była siostra Ada w rewirze przełożoną. Potem salowi byli. I on wszystkich zebrał i kazał im pralnię sprzątać. Ja przechodzę na ulicy, a oni pralnię wszyscy sprzątają. A moja koleżanka, właśnie ta, której braciszek... Przechodziła i ona miała ich pilnować przy tym. Pokazać, czy dobrze robią. To było upodlenie dla nich. Więc wtedy ten inżynier złożył tego... Jak to mówią? Zrezygnował, chciał zrezygnować z tego... To był bardzo porządny człowiek. I on właśnie w tym pokoiku jednym był. I teraz komendant przyjął jego... Ale salowi się zgłaszali, to nie. I salowych już nie przyjął, ale jego przyjął. I on potem wyjechał gdzieś ten gość. I tą rezygnację złożył. Zapomnę czasem słowo. Mój tata też tam sprzątał. Ja przechodzę, a tata sprząta pralnię. Tam w korytach, bo to była kiedyś stajnia. Tam miskę się wstawiło i tam prali w na pół zimnej wodzie. No i oni to robili. No więc tamten złożył... Zaraz, zaraz, zaraz.

Teraz powiem tak. Że jak teraz już byliśmy, jak już był lagrowym, to koło nas była ta pani Nowicka. I ten komendant Jobski miał mieszkanie na terenie Konstantynowa. No i tak się złożyło, nie wiem jak to było, że pani Nowicka chodziła jemu sprzątać tam. No i z jaki raz, nie wiem czy ją tata polecił. Do tego Jobskiego chodziła sprzątać. I kiedy tam poszła, to w pierwszej chwili co zobaczyła? Ona była z Chodzieży. Że u tego komendanta są jej worki z napisem z Chodzieży. On był w ich mieszkaniu w Chodzieży! Wyobraźcie sobie, jaki to... Ona się pyta, skąd on ma te worki z jej nazwiskiem. – *No bo ja tam w tym mieszkaniu mieszkałem.* No jaki zbieg okoliczności, nie?

I ona jak szła, w którym miejscu to było, nie wiem. Spotkała tam jakąś znajomą, która tam mieszkała właśnie w Konstantynowie. No i ta pani podała jej kiszoną kapustę. Tam nie wiem w czymś tam, kiszonej kapusty. No i ta pani jak przyniosła, nam też troszeczkę dała, bo to przecież był rarytas. A naprzeciwko nas leżał gość z Kielczewa, niejaki Zommer. To był

w ogóle zły człowiek dla rodziny, dla wszystkiego. Przychodził do nas przedtem wciąż, cudował. Jeszcze w domu miał tylko dwie krowy, coś tam tego. I przychodził do nas. A on naprzeciwko leżał. A żona jego ostrzegała ludzi, że on donosi do komendanta. [01:25:00] Ludzi ostrzegała z Kielczewa, którzy tam byli i nam to przekazali. I teraz on poczuł tą kapustę, bo przecież to było takie coś. Przyniosła raz, przyniosła drugi raz i od razu komendant wołał moją tatę, skąd miał kiszoną kapustę. Już nie chodziło o kapustę, tylko chodziło o to, że coś się dzieje, o czym on nie wie. A tata się wyparł, że w ogóle gdzie, nic nie tego. A ten komendant zamierzał się na niego i powiedział: – *Bo jak jeszcze raz, to...* Ale nie uderzył go. Miał tyle szacunku do niego jeszcze, że go nie uderzył. I to było gwarantowane, że to ten, co naprzeciwko nas leżał, że on to doniósł. I nie wiem, czy czasem ten anonim, który przedtem był z tą rewizją, czy to nie był jego. To był bardzo zły człowiek. Bardzo zły człowiek. Jeszcze się po wojnie mścił, on jeszcze moją tatę na pół roku do więzienia wsadził niesłusznie. Tata siedział w Kościanie i na Kochanowskiego w Poznaniu. To on to zrobił. On zgłosił na UB rzeczy nieprawdziwe. Pół roku. No i teraz stamtąd właśnie ten zrobił wniosek o nas tam. Z Kielczewa. Bąk Mieczysław. Zrobił wniosek. Znaczący przekazał tam do tej miejscowości, do Bergen Belsen. Tamten gość zrobił wniosek o nas. No i już przyszły papiery. Przed naszym wyjazdem jeszcze jechał jeden. Aha! I jeszcze coś było, że tak jak tata zrobił tego Małeckiego zastępcą, to on powiedział tak: – *Panie Mocek, a może pójdziemy do komendanta. Może byśmy mogli w tym pokoiku tam sobie zamieszkać.* A tata powiada: – *Nie. Ja będę zawsze i wciąż z ludźmi na sali.* I było tak, że było zimno, mróz. Komendant powiedział, że nie wolno się myć na sali, trzeba iść na dole do umywalni, otwartej, zimnej. To myśmy chodzili sami. Tata jako lagrowy. To ja z mamą chodziłam do tej zimnej umywalni rano. Wszyscy się myli na sali. Ale Zommer był naprzeciwko nas. A jeszcze był taki jeden gość z Chodzieży, Jabłonka jakiś, pijak taki. I on jeszcze nas pilnował. Chodził tam i z powrotem rano, jak żeśmy wstawali. Bo to był gość, który przez krótki czas był salowym i wziął sobie moją tatę jako zastępcę. To wtedy ludzie mówili: – *No, Jabłonka będzie zapalać, a Mocek będzie gasić.* Ale mój tata nie mógł się zgodzić z jego postępowaniem, ze wszystkim. I tata miał te wszystkie zeszyty, co zapisywał do pracy. Wszystkich, gdzie, co mieli chodzić. I wtedy, kiedy ten rozdawał przy stole chleb na wszystkie grupy. To on przy wszystkich złożył te papiery: – *Ja dziękuję. Ja już nie będę z panem, bo nie mogę z panem współpracować.* Bo on się źle odnosił do ludzi. Wtedy mój tata nie miał żadnej tam funkcji, to razem z drugimi mieszał w kotle, woził to wszystko. No i dopiero później, zaś potem zmieniliśmy salę, to potem to się zmieniło. Ale w tym czasie tak było. Tata nie chciał tego. Tak że nie miał nic mu do zarzucenia. Kompletnie.

Przed naszym wyjazdem parę dni odjeżdżał znowu jakiś transport. Nowy transport ludzi. Ale nas już nie haczyli, bo już nasze papiery tam były. I ten gość, który był zastępcą taty, on nie miał jednej ręki. Więc jak była przed lekarza, bo lekarz był tu, to on sobie powiesił tam marynarkę i ten nie widział, że ten nie ma ręki. [01:30:00] I z dziećmi, z tą żoną pojechali na roboty gdzieś tam. Nie wiem, gdzie oni tam wtedy pojechali. No w każdym razie zakrył wszystko już i pojechali. A myśmy krótko potem. Ja już potem zbierałam od wszystkich dużo ludzi te zapisy, bo chciałam tam mieć. Bo się odjeżdżało. Potem myśmy odjeżdżali.

No więc 13 kwietnia, w 1942 roku wyjechaliśmy z Konstantynowa do Łodzi na ulicę Łąkową, bo tam była cała kartoteka. Komendant z nami jechał, jechał z nami tym tramwajem, tam nas zawiózł. I w tym samym dniu jeszcze nas przekazali na ulicę Kopernika, bo stamtąd szły transporty. Z łapanki, ze wszystkiego. Tam różni ludzie byli. Nas wyjeżdżało z Konstantynowa trzynastego trzynaście osób. Tak się złożyło. To już nam się świat otwierał. Tam żeśmy byli i na drugi dzień był transport. Wszyscy szliśmy całym korowodem na dworzec Kaliski z Kopernika. Prosta droga tam była. Wszyscy z łapanki i wszyscy. I te 13 osób nas jechało. Bo tamci też jechali, też gdzieś w te już miejsca. I tam mi się jeszcze jedna wpisała. Zosia Nawrotówna tam jeszcze mi się wpisała do pamiętnika. Na dworcu już tam panie rozdawały bułeczki. Wsiadliśmy do pociągu. Ale nas trzynastu jechaliśmy w osobowym wagonie, a reszta wszystko w wagonach bydlęcych. No i jechaliśmy. W nocy przez Poznań. Rano byliśmy już nad Odrą. Mój tata powiada: – *To jest Odra*. Tam już łódki stały. Tam wszystko. I z Frankfurtu, jak byliśmy tu tak wysoko, tam żeśmy jechali na dół, na południe. I w Cottbus się żeśmy zatrzymali. Tam dali nam cały obiad w takich pudełeczkach. Dali nam obiad. I jechaliśmy dalej. Jechaliśmy przez Drezno, Halle... Ja później kilka razy jechałam tamtędy, to już sobie zapamiętałam. W każdym razie w Halle był postój, mały postój. I tak sobie zapominałam piękny dworzec. Te wszystkie perony zadaszone. Wyszłam z pociągu nawet na to i tak popatrzę. I mówię: – *Jeszcze takiego peronu nie widziałam*. U nas to tylko taka szopa była w Kościanie, a tam taki piękny peron, takie wszystko. I tak jechaliśmy kilka dni. Potem w jednej miejscowości Paderborn w nocy o dwunastej żeśmy wysiadali, bo był tam alarm czy coś. Szliśmy od peronu do tunelu na chwilę, ale nic się nie działo. I zajechaliśmy do Hanoweru. W Hanowerze wysiadaliśmy my sami już, a pociąg jechał dalej. I tam żeśmy wsiadali do innego pociągu w kierunku Bremen. Więc zajechaliśmy do miejscowości Verden. To było na tej linii. Za Verden jeszcze 20 kilometrów, dopiero był Bremen. Tam żeśmy zajechali. Na stacji żeśmy czekali. Tata poszedł na Arbeitsamt. Tam nas potem prześwietlili. I pod wieczór przyjechał po nas właśnie ten, nazywał się Precht. Właśnie brat tego, co tamten znajomy tam był. Z tatą jechał

sobie na powózce, a my z mamą z tyłu z bagażem. I jeszcze mama mówi: – *Nie wygląda na tego*. Bo taki był... Miał mało uśmiechu. Ale to był naprawdę pocziwy człowiek. To był pocziwy człowiek. [01:35:00]

Jak żeśmy tam zajechali, tam była jedna pani jakaś. Ja myślałam, że to może jego tam, może czy żona, czy córka. Tak jeszcze ładnie z nami. Ja jeszcze do niej mówiłam: – *Wir werden jetzt deutsch lernen und sie werden polnisch lernen*. Bo ja już po niemiecku coś tam umiałam, bo szkoła przedtem była. Do szkoły chodziłam. Zapomniałam o szkole jeszcze przecież powiedzieć. Chodziłam do szkoły w Kiełczewie 3 miesiące. Co szło to wszystko po niemiecku. Tata pomagał, że ja dużo umiałam już po niemiecku. Ta pani tak się śmiała. Ale ona odjechała, bo to była jego siostra. I to było nad rzeką Wezerą. Spławna ładna, piękna rzeka. Dali nam kolację. Nie zjedliśmy wszystkiego, no bo żeby nie zjeść, bo tam u nich były tam... Zawsze były smażone ziemniaki na kolację. Taki tam był zwyczaj. I od razu po kolacji przychodzi jakiś gość. I że ja mam z nim iść. Co się okazało? Że ja idę w inne miejsce. No bo dlaczego? Tu już była gospodyni. Bo żona jego już nie żyła. Córka nie żyła, syn na wojnie. On był sam, ten człowiek. On był takim przewodniczącym wioski. I on był tylko zdany na obcych ludzi. On był sam. I to był bardzo dobry człowiek. On do moich rodziców „Pan”, „Pani” mówił. Nie mówił przez „ty”. Grzecznie. Tamte dziewczyny też były grzeczne. A u mojej bauerki: ona była sama. Córka w ogóle była na stażu pracy. Bo one też musiały iść na staż pracy. Pod Hanowerem. Była tam Polka w ciąży. Pojechała do domu. Koło Koła. I ta moja bauerka była sama. Tu byłoby nas 4 kobiety, a tam była ta sama, jeszcze z chorymi nogami. No więc ja tam poszłam. I nawet nieźle, bo to był inny dom. Taki był bardziej nowoczesny dom. Ja już się rozmówiłam normalnie. Ale co? Tata ze mną poszedł. Poszedł i powiedział im wszystko, jak jest, w spokoju. Wzięli go do pokoju. Wszystko opowiedział. I prosił tak: żeby mi nic nie płacili, bo pieniędzy nie potrzebuję. Żeby jadła z nimi przy stole. Żeby mi coś, jak bym potrzebowała, do ubioru kupili czy tam uszyli. W ten sposób. I żebym krów nie doła, bo jestem jeszcze słaba po chorobie. No dobrze. To była bardzo dobra kobieta. Bo nawet mi się pytała: – *Sluchaj, a jak tam dzieci w lagrze?* A ja mówię: – *Które? Te, co się tam urodziły?* – *To tam się też rodziły?* Mówię: – *Tak.* – *O, Boże, Boże. O, Boże, Boże.* Bardzo dobra kobieta była.

Jeszcze syn był w domu. Jeszcze trochę był w domu. On miał 17 lat, jak musiał iść do wojska już na wojnę. Dobry chłopak. Nigdy mi marnego słowa nie powie. Prędzej na siostrę ruszył niż na mnie. [śmiech] Jak mi się siostra przyмилаła, to tam do niej płatową. A ja tam płatowy się szybko nauczyłam. To zupełnie miejscami nie ta mowa, nie do zrozumienia. Musiałam się

z hoch do plat deutsch... I jeszcze do tego doszedł serbski, bo Serbowie byli. Więc 3 języki jeszcze się uczyłam.

W każdym razie potem wróciła ta córka. I już teraz tak. Póki krowy były... A ja umiałam doić, bo ja w domu doilałam. Mamę wyręczałam, jak mama kolację. Jak miałam 11 lat, to już dwie krowy wieczorem doilałam, żeby mamę wyręczyć. Nikt mi nie kazał. Mama w tym czasie 2 talerze chleba szykowała na kolację, a ja za mamę doilałam już. Ja już cielaki poilałam po paluszkach. Lubiłam to. Tak że ja w gospodarstwie dużo rzeczy już znałam. Potem się wypytywała: – *A ile żeście mieli kur?* Mówię: – *Fünfzig*. 50. I tak wszystko. W porządku była. Potem córka wróciła z tego stażu. [01:40:00] Ona była 4 lata starsza ode mnie. Dwudziesty trzeci rocznik była. Starsza ode mnie. I zanim ona przyszła, to jeszcze krowy były w domu, no to bauer chodził doić. Ale jak krowy poszły na łąki, to jemu już się nie chciało o wpół do piątej wstawać do krów. Bo my musieliśmy być już z mlekiem o wpół do siódmej w domu. Bo sąsiad mleczarz już brał mleko. Więc to już musieliśmy być. No więc wtedy zaczął mnie uczyć na łące dojenia, więc musiałam udawać, że nie umiem. Mówił, że mam kierować trochę coś tego. A on tam kłął. – *Donnerwetter* – powiada. – *Trzeba było cię prędzej uczyć*. No ale w końcu musiałam już się nauczyć. Bo jak by nie było. No krowy doić. Skończyło się dojenie, wody napompować. A wszystko według zegarka. Rano, w południe i wieczorem. I te kilometry, które pieszo się chodziło.

Jak przyjechała potem ta córka, to już miałam jedną, co drugą niedzielę wolną. Bo ona powiada: – *Fela, wiesz co? Jedną niedzielę będziesz miała wolną. To znaczy w południe nie będziesz już krów doić*. To ona już szła. Wieczorem też. Z tym, że ja musiałam... Bo były dwie kuchnie: kuchnia do gotowania, duża kuchnia i mała do zmywania. Ja już się wtedy z bauerką trochę w tej dużej kuchni przy jedzeniu, a ona już zmywała. Bo przecież jak przyjechały teraz z tego 5-6 kan od mleka, jak przywiózł w południe, to wszystko było latem paskudne mycie. Bo to wszystko oślizgnięte. Bo on przyjechał w południe dopiero. Tośmy proszkiem musieli czyścić. I to wszystko według zegarka. Ja musiałam tak się nauczyć szybko wszystko robić, że szkoda gadać. Ja szłam zawsze do rodziców po południu. Więc jak miałam pracującą niedzielę, no to szłam po południu. Ale musiałam przyjść wieczorem, do dojenia musiałam iść i te kany, to wszystko myć. A jak miałam wolne, to już po obiedzie bauerka mi szykowała podwieczorek i kolację, i szłam do rodziców. I tam już tylko dostałam tę herbatę czy tę kawę. Bo w niedzielę nie było ziemniaków tylko był chleb. I ja już tam u rodziców cały czas byłam. I tam zawsze przychodził ten Różański, bo z moim tatą w szachy grał. Bo moi bracia wszyscy w szachy grali.

Wieczorami, w zimie szczególnie. Ja zaczęłam, ale mnie to nudziło. To za długo było. Ja już tam wiem, jak wszystko robić, ale nie mam cierpliwości do tego.

Aha, teraz te krowy. No więc to było: jak by nie było, krowy były na dworze. Czy deszcz, czy nie deszcz. Żadnego schronu, schronienia. A najgorzej było, kiedy słońce piekło i muchy gryzły. To te krowy nie chciały, oganiały się, oganiały. W końcu ruszyły. Jak jedna, to druga, trzecia jeszcze za nimi. To szczególnie w południe. No to zostało wieczorem, bo tych już nie szło wydoić. I raz mnie pies pogryzł tam nawet. W 1943 roku to było. Miałam jednego... Bo tam było tak, że miałam wózek. Pies ciągnął wózek. Specjalnie wózek taki już uszykowany. Na 3 kany i wiadra, z tyłu jeszcze taka przystawka. Pies miał uprząż ładnie i wszystko. Bo pies był na łące. I jak zawołałam, ale musiałam po niemiecku. Max, Lux. Pierwszy był Lux. – *Lux, komma hier*. To on już przyleciał do mnie. Tam było sitko na tym i ja już to wszystko przelewałam. I ten pies właściwie był tylko jeden sezon, ten pierwszy. Bo ja wsiadałam nieraz na wózek i mnie musiał jeszcze wieść. A tam były olbrzymie wały nad rzeką. Naprawdę olbrzymie wały, że tam aż ileś, nie wiem czy 200 metrów [01:45:00] przedtem trzeba było podjechać pod te wały takie wysokie. Bo Wezera to była wielka rzeka. To jak z góry, to ja wsiadałam we wózek i z góry mnie ciągnął. Ale on tak był pracowity ten pies, że zdechł. Dostaliśmy drugiego, Maksa. Ten już nie był taki pilny. Ale w każdym razie ja nie musiałam... Mama, jak szła doić krowy, musiała wózek ciągnąć. Bo tam nie było psa. Oni mieli uszykowany wózek do roweru z takim dużym tym... No to jak Niemka jechała doić, to ona tym rowerem jechała. A mama nie umiała rowerem jechać. Więc ja tam tak miałam. No to wieczorem miałam dużo. Jak w południe nie było, to wieczorem. A najgorzej było, jak deszcz padał. No to się zrobiło z worka taką kapucę, no i się szło. Deszcz nie deszcz. Musiało się to zrobić. Aż jednego razu nawet był grad nad samą rzeką, to potrzaskał wiele rzeczy. To było coś niesamowitego. Ale taki pas tylko nad rzeką. Nawet całej wsi nie objął. Tam było pobite drzewo. Zboża tam były pobite. To wszystko było paskudnie. Paskudne żniwa potem były. No i w każdym razie, no i tak było. Aż co to było? Muszę pomyśleć. Dalej, dalej.

A.W.: A może Pani opisać taki swój zwykły dzień? O której godzinie Pani wstawiała i co tam po kolei Pani robiła?

F.K.-S.: Dobrze. To zależy, co się... Jaka praca była.

A.W.: Jaka pora roku.

F.K.-S.: Ja byłam od wszystkiego. I w domu, i w pole. Jeżeli szłam w pole, no to rano się wstawało o wpół do piątej. Czasem w trójkę jechaliśmy krowy doić. I potem o wpół do siódmej musieliśmy być w domu. Miałam 10 cielaków do napojenia. Bo taki był basen. Basen, gdzie tam było to mleko specjalnie. A tam było wszystko. Wyszłam z kuchni, już basen był, naprzeciwko już były cielaki. Bo to takie to... Holenderskie zabudowa. Jakby tam się zapaliło, to by się wszystko spaliło. Mieszkanie, wszystko by się... Wszystko było razem. W każdym razie, cielaki. Teraz wiadra, wszystko umyć. O siódmej było śniadanie. O wpół do ósmej w pole. Żeśmy szli w pole. I teraz przychodziliśmy do domu. Jeżeli miałam iść krowy doić, bo to różnie bywało, iść krowy doić w południe, no to już wcześniej, o wpół jedenastej przychodziłam z pola. To już brałam psa i szłam, bo musiałam być przed pierwszą w domu. Z tym mlekiem, z tym wszystkim być w domu i kany wstawić do kuchni. Teraz było jeszcze mleko z poprzedniego dnia dla tych cielaków. Musiałam cielaki napoić i to umyć. Ten basen umyć. Potem wziąć wózek, ale nie ten, tylko inny wózek, pojechać na ulicę, przywieźć te kany, które przywiózł mleczarz. Tam było mleko. Bo tam tylko była śmietana ściągnięta, a resztę mleko wracało tu z powrotem. I musiałam dźwigać to wszystko. Ja musiałam te kany wszystkie, jak na wózek, ja musiałam to wszystko dźwigać. Na wózek, przywieźć, znowu złożyć z tego, wlewać w ten basen, zakwasić, żeby wieczorem już było zakwaszone dla cielaków. O pierwszej był obiad. Do wpół do trzeciej mężczyźni się najedli. Poszli, a ja miałam masę zmywania. Te wszystkie kany, nieraz latem oślizgnięte takie od tego. Ja to musiałam umyć, wszystko pozmywać. I z dużej kuchni wszystko, i to co chłopacy mieli tam. Bo z tej małej kuchni było tylko okienko odsuwane i tam byli już chłopacy, jedli tam. Ja tam z nimi nie, tylko oni tam jedli. Służba. No więc to wszystko było podane. I ja to wszystko miałam: garnki, wszystko... I ja musiałam to wszystko do wpół do trzeciej zrobić. [01:50:00] Obiad, no wszystko, to wszystko trwało. Kuchnię umyć, wszystko czyściutko zostawić. To nieraz ledwo skończyłam, to już tylko włosy zaplatałam w warkocze i w pole. A tamci wypoczęci chłopacy przychodzili.

Czasem miałam 15, 20 minut czasu, no to co, to też... Ale to też zawsze musiałam włosy znowu zapleść, z powrotem zrobić. I miałam dużo korespondencji. Czasem mi się udało. Ja miałam kilkanaście korespondencji, gdzie pisałam. Koleżanki, do braci. To wszystko ja się korespondencją zajmowałam. To miałam 12 czy 13 tych miejsc. Ja to wszystko obsługiwałam. Koleżanki z Kościana, bracia, to wszystko. Z lagru koleżanki. Ja to wszystko obsługiwałam.

Więc możecie wiedzieć, ile ja miałam roboty. I potem znowu w pole. I jeżeli, przypuśćmy, wieczorem znowu... Jak z pola, to zależy czy szłam krowy doić, czy szła ta córka doić krowy. Albo ja, albo ona. Jak nie szłam doić, no to wtedy w pole, już nie pamiętam, o której godzinie

żeśmy schodzili. No o ósmej latem była kolacja. No i po kolacji znowu wszystko pozmywać. I to była prawie godzina dziewiąta.

O dziewiątej godzina policyjna. Więc mój tata prosił żandarmów, był jeden i drugi. Było ich dwóch. Jeden lepszy, drugi gorszy. Prosił ich, żebym ja mogła godzinę dłużej być, bo ja bym nie miała kiedy do nich iść. Ale tylko do nich, gdzie indziej nie. Więc ja szłam i później, i o dziesiątej też. Chociaż przejeżdżał policjant. Czasem mnie odprowadzał ten Różański, bo on też tam siedział. Ja szłam przez cmentarz. Tylko droga była przy samych grobach. Tutaj żywopłot, a tu groby, wąska ścieżka. Jak było ciemno... Tam były okropne mgły. To było nad rzeką, to była dolina. Tam były takie mgły jak mleko, że krok przed tym się nic nie widziało. I jeszcze Verdunkelung, zaciemnienie. Nigdzie się nie świeciło. Jak szłam, to tylko patrzałam, czy by na grób nie wejść. Rękami. Bo tam trzeba było po schodkach zejść jeszcze na ulicę. To było tak. To było blisko nas, 5 minut. Był cmentarz, kościół, to wszystko tam było. Trzy lata chodziłam przez ten cmentarz. Nic, żadnego ducha nie było. Bo u nas w domu nikt nie straszył duchami. Biada, jakby ktoś opowiadał, to tata przeganiał takiego. Nie było u nas. I tak miałam. W każdym razie ja szłam nieraz później. I dobrze, i nikt nic nie mówił. I nawet był policjant. Ten gorszy namawiał mojego tatę, żeby poszedł na volksdeutscha. Jeszcze tak mówił po niemiecku: – *Mensch, du hast vier Söhne.* „Człowieku, ty masz czterech synów.” Ale przecież syn tylko jeden był niepełnoletni. A wszystko było pełnoletnie, to by tak nie potrzebowali iść. Ale tata powiedział: – *Nie.* Co tam jeszcze chciałam powiedzieć? Jeszcze jest dużo do opowiadania.

Jeszcze mogę powiedzieć tak: że miałam dostęp do radia. Jak sprzątałam, tam radio było. Sprzątałam, to wielkie sprzątanie było zawsze. I już przedtem nastałam tą córkę, jak słuchała wieczorem, nakryta pod wieczór. Słuchała, bo ona miała narzeczonego w Afryce. Tam niedaleki sąsiad. Dwadzieścia lat starszy, ale był narzeczony. Tak go trzymała w razie czego. I potem w Ameryce. To tam nieraz przez radio było: [śpiew:] „In der Heimat, in der Heimat, da gibt's ein Wiedersehen.” To było: „W ojczyźnie, w ojczyźnie zobaczymy się.” To leciało, ale ona też słuchała. Bo tam pewnie były jakieś tego... Nakryta siedziała, ale szybko jak ja weszłam, tam szybko tego. Nic żeśmy nie mówiły. [01:55:00] I teraz, jak ona zachorowała. Jak ona zachorowała, to była zima. Przepraszam, jeszcze powiem co innego.

W 1944 roku, w marcu, przyjechali do nas żołnierze z frontu wschodniego. Czekali na inwazję we Francji. Trzy miesiące u nas byli. Bo u nas, jak już Pani mówiłam, był taki ładny apartament. Bauera brat miał. Miał dwóch braci w Ameryce i ten jeden do nas przyjeżdżał, drugi przyjeżdżał

do jego siostry. I on sobie tam zrobił pięknie. Bo nawet na piętrze w ogóle mieszkania były. I on tam miał piękny apartament. Tam sobie szykował. Tam stodołę wybudował, oborę nowoczesną. Coś tam zrobił. No więc jak był czasem... Przypuśćmy, raz był u nas chłopak dwiętnastoletni z Monachium. Niby z esesmańskiej komando, ale tam przymusowo go dali. Prawdopodobnie to był jakiś student. Wysoki chłopak, ładny. I był z nami. Jadł przy stole. Przez to, że jadłam z nimi przy stole, ja dużo wiedziałam. I teraz, miał rękawiczki na rękach. Skórzane, czarne. On miał odmrożone palce. U nóg też. I mój bauer przy obiedzie do niego mówi: – *A tam w Rosji to wam dawali dobrze jeść?* Bo on z Rosji. A on powiada: – *Nie wiem, bo 3 dni byłem i nic nie dostałem.* Jeszcze ta córka Hilda powiada: – *Wiesz, co on do mnie powiada? Tak podpatruję, jak on się myje.* Bo się w kuchni mył. – *Żebyś ty chciała widzieć te jego palce.* A on tak robił, że ona nie mogła tego zobaczyć. I zawsze jadł w tych rękawiczkach, w tym wszystkim. Spokojny chłopak. Małomówny. Potem jakiś chłopiec u nas z Hanoweru. Po tyfusie. Tam rodzice będą robili w gazecie, że tam na taką rekonwalescencję. Helmut, miał może 12 lat. I też tam chodził. Z nim rozmawiałam. I on mi powiadał: – *Wiesz co? Ja myślałem, że kurom się nie daje jeść, że one sobie tylko pozbierają.* A wy im dajecie jeść. No jakie pojęcia były.

A.W.: Mówiła Pani, że był dostęp do radia. A do polskich gazet? Był dostęp do polskich gazet?

F.K.-S.: Polskie gazety. Nie, nie. Gazety przychodziły. To były niemieckie gazety, z naszego powiatowego miasta. „Hoyaer Beobachter”. Te gazety przychodziły. Ja czytałam te gazety. I zawsze czytałam, co się dzieje w Rosji. Jak daleko są, jak wszystko. Ja to wszystko czytałam i rodzicom zносиłam te wiadomości. I czytałam nekrologi. Nawet czytałam nekrolog pisany platówą. Ktoś platówą nawet żołnierza pisał. A jak było napisane, że zginął, to było wiadomo, że go sami zabili, bo nie chciał iść wykonać rozkazu. Czekaście, czekajcie, żebym ja się nie pogubiła. Co to było?

I ci żołnierze przyjechali. Co jeszcze? Coś chciałam mówić. U nas był oficer. Nazywał się Kleinsmager. Do niego przyjechała żona z synkiem malutkim Piotrusiem. Jeszcze nie mówił ten mały. I ona u niego była. Oni 3 miesiące u nas byli, ci żołnierze wszyscy. I ona, bardzo miła pani, nieduża, grzeczna. On nigdy „Dzień dobry” nie mówił, więc ja mu też nie mówiłam. U nich było tak, że jak się przychodziło, to się mówiło każdemu „Dzień dobry”. I do dzisiaj tam tak jest. I nic. I oni byli 3 miesiące, to Niemcy im tam robili potańcówki. Tam była...
[02:00:00] Na sali. Miał jeden, co miał sklep. Miał, tam kino czasem grało czy coś. I tam robili.

Dziewczyny robiły jakieś kanapki czy coś. Ta nasza też robiła i tam szli. Tam przyjęcie takie robili.

I potem, jak przyszedł czerwiec, 6 czerwiec, to od razu: wstajemy do dojenia, już nikogo nie było. Już wszyscy wyjechali. Już dostali wiadomość. Już jechali do inwazji. Nie wiem, jak tam wszystko wyglądało. Coś mówili Niemcy, że niby 80% z nich miało zginąć. Ale ja tego nie wiem dokładnie. I ta pani zaraz sobie pojechała. Później jeszcze, w 1944 roku, to już po inwazji. Ale to przed inwazją jeszcze. Nie, to był 1944. Po inwazji już było. Już alianci stali nad Renem. Do nas znowu przyjechała cała masa tych nadreńczyków. Musieli, bo tam był front gdzieś. Tak zwani *Kriegsbeschädigte* to byli. Poszkodowani przez wojnę. I u nas wszędzie cała masa ich była w okolicy. Wszędzie. I u nas też byli. Rodzina była z Dortmundu. Mąż, żona i córka była. Syn był na wojnie. No i wtedy już po prostu nie było dla mnie miejsca przy stole, przy obiedzie. Bo już wszystko było zajęte. Śniadania, to coś innego, to byłam razem tam. Bo tam już nie było dla mnie miejsca. Musiałam iść do chłopaków jeść. No bo jak jedna czy dwie osoby były, to jeszcze dla mnie miejsce było. A tak to już niestety, ale tylko na obiad chodziłam tam. Ta pani była bardzo fajna. Nawet mi tam coś uszyła. I tak, że nie powiem, bo i ta córka piosenki śpiewała. Nawet platówą po westfalsku mogę zaśpiewać piękna piosenkę. Oni byli aż do końca.

Ale jeszcze przed tym powiem tak: 1944 rok. Sprzątam w mieszkaniu, w pokoju. No i tak kręciłam sobie radio, kręcę, kręcę. I od razu słyszę czystą polszczyznę: „Tu Radio Luxembourg.” I mówią, żeby ci więźniowie z tych obozów, bo już wtedy szły te pochody śmierci, bo przez naszą wieś też pędzili. Rodzice widzieli, jak pędzili ludzi. Żeby się bronili przed tymi marszami, bo umierali po drodze. I to wszystko po polsku. Córka Hilda była chora. Ale że zimno było do góry, bo tam do góry nigdzie nikt nie palił, myśmy w zimnym spali. A jej brat był na wojnie, a miał pokoik, gdzie to radio było. I przeprowadziła się do jego pokoiku. No więc drzwi otwarte, a ja sprzątam. I znowu włączam. To było o dziewiątej rano. I znowu: „Tu Radio Luxembourg.” I znowu to samo: piękna, czysta polszczyzna. A ta tak sobie powiada: – *Fela, macht das Radio zug.* „Zamknij to radio.” [śmiech] I potem mi nic, to zamknęłam. Rozumiała Pani, nie? Zamknęłam, już więcej na to nie robiłam, bo ona tam przez kilka dni jeszcze była. Już na co innego nakręcałam. Ale nic mi nie mówiła, bo ja ją przedtem napatoliłam, jak ona słuchała też nakryta.

Samoloty, co było z samolotami? Bez przerwy, bo nad nami był korytarz. Korytarz taki dla samolotów. [02:05:00] Leciały na Hanower, na Berlin, nawet na Poznań, bo Poznań też był bombardowany. I to wszystko leciało nad nami. Z początku tak 2 czy 3 razy byliśmy w piwnicy,

ale potem my się już do tego wszystkiego przyzwyczaili. Bo nad nami były też walki, w biały dzień. W nocy latały samoloty angielskie. I to jest prawda, bo nawet czytałam o tym. A w dzień amerykańskie. Jak my robili w polu, to nad nami wszystko leciało. A 6 kilometrów od nas, w naszym mieście powiatowym, było lotnisko i tam były myśliwce. Bombowce też miały...

A.W.: Jak Pani się dowiedziała, że zginął generał Sikorski? Proszę o tym opowiedzieć.

F.K.-S.: Aha, właśnie o generale. Aha, no dobrze, bo zapomniałam. Wiedziałam, że coś mam powiedzieć. Akurat byłam na brzegu w kuchni i przychodzi listonoszka i przynosi gazetę. Ja pierwsza odebrałam tę gazetę i patrzę. Na samym przodzie, na gazecie: Sikorski. Wtedy jak zginął. Napis: „Sikorski nie żyje.” No taka powiatowa, zwykła gazeta i taki wielki Sikorski. I tak patrzę... A wcześniej myśmy mieli wielkie, wielkie nadzieje w nim. I tak patrzę, i lży mi się kulają. Dochodzi do mnie bauerka i patrzy. Pyta: – *A kto to jest? – Unser Führer.* Powiedziałam. „Nasz wódz.” [śmiech] Kiwnęła głową i szła dalej. Tak, to właśnie chciałam i zapomniałam o tym. A ja mówię „Unser Führer.” [śmiech] Więc ja byłam tak w to wszystko wpakowana, że szkoda gadać. Dlatego tyle wiadomości. Więc ja się boję o tę chronologię. To by musiało być dłużej, poprawiać. Bo ja nie jestem w stanie teraz to wszystko tak... Za dużo lat. Przecież mi za 7 miesięcy, dziewięć dziewięć. Kto to ma taką pamięć?

Transkrypcję sporządziła Agnieszka Wróblewska